

4. Pieśń w chmurach i ślędz w oleju

Po przeniesieniu się do klasy maturalnej płockiej „Małachowianki”, nosiłem jeszcze wciąż w sobie tę - wyniesioną z Suska - młodzieńczą i patriotyczną miłość do munduru i wszystkiego, co się z tym wiąże. Aż do matury zapamiętałem uprawiałem harcerstwo, opiekowałem się drużyną, działałem w komendzie hufca, jeździłem na obozy.

Tak więc, w lipcu 1946 roku, jechałem w rejon Ostródy na wielkie, mazurskie zgrupowanie obozów Chorągwi Mazowieckiej. Z samego tylko hufca płockiego przebywały tam aż 254 osoby. Dlatego już przed wyjazdem z Płocka nastąpił podział na dwa podobozy. Zostałem komendantem jednego z nich a podobóz ten - na życzenie chłopców - przybrał nieco żartobliwą nazwę „Lipa”.

Jechaliśmy w wagonach towarowych, zwanych przez nas „slingami”, ponieważ miejsca na podłodze nie brakowało i podkładając pod głowę plecak można się było nawet od biedy zdrzemnąć. Ze względu na wojenne zniszczenia szlaków kolejowych, pociąg jechał wolno i wiele razy stawał po drodze. Dla nas młodych, znających uciążliwości niemieckiej okupacji i zachłystujących się teraz smakiem wolności, tego typu niedogodności nie stanowiły żadnego powodu do narzekań. Co najwyżej mogły być pożywką dla sytuacyjnych żartów.

Podczas jednego z dłuższych postojów, kiedy już zapadał zmrok, przy świetle latarki elektrycznej zapisałem dość niestannie słowa ułożonej już w myślach piosenki. Została ona początkowo przeznaczona dla mego obecnego hufca.

Piosenka była tak prosta, wesoła i melodyjna, że wkrótce przyswoiły ją sobie - i z zapalem śpiewały - wszystkie mazowieckie hufce. Ja zaś szczególnie sobie ceniłem autorski pomysł na serce, które powinno się rozpalać do tego stopnia, aby mogło ogrzać szerokie wody mazowieckiej Wisły! W związku z tak nieoczekiwaną popularnością, dwa ostatnie wiersze refrenu natchmianem uległy drobnej zmianie i to bez mego udziału. Słowa „i Płocki Hufiec nasz” zastąpiły „Mazowsze naprzód marsz”. A oto fragment słów piosenki noszącej tytuł : „W nadwiślańskim grodzie”.

W nadwiślańskim grodzie, wśród prastarych wież,
piosenka wesoła płynie wzdłuż i wszecz!

Refren:

Idziemy w dal Mazowsza dzieci młode,
serce się pal, wiślaną ogrzej wodę.
Idziemy wzwyż, od zuchów aż do szarż.
Wiwat nasz gród, Mazowsze naprzód marsz!

Pogoda czy słońce, słońce albo deszcz,
nie ma dla nas błota - zawsze humor jest!

* * *

Na marginesie warto dodać, że dalsza historia piosenki wiązała się ze słynnym ZLOTEM ZHP SZCZECIN ' 46. Podczas tego zlotu zdarzył się skandal polityczny, bo harcerze tak wiwatowali na cześć Stanisława Mikołajczyka, że ich kolumny w ogóle nie dopuszczono do przemarszu przed trybuną honorową, na której stał Władysław Gomułka. Osobiście nie byłem wtedy w Szczecinie, ponieważ zdawałem na studia w Gdańsku, ale moja mazowiecka piosenka już wówczas na dobre żyła własnym życiem.

Podczas tego zlotu rozeszła się po Polsce ze słowami dopasowywanymi dla różnych chorągwi. Śpiewano więc w Szczecinie i Opolu: „W nadodrzańskim grodzie”; w Krakowie: „W podwawelskim grodzie” a nie ominęło to nawet Zagłębia Śląsko-Dąbrowskiego, gdzie zrodziła się dość oryginalna konstrukcja słowna tej piosenki, a mianowicie: „W zagłębiańskim grodzie”. Później piosenka dotarła także „do cywila” i nawet moja córeczka, Ewa, śpiewała ją na warszawskich koloniach w Spale, w połowie lat pięćdziesiątych, zupełnie nie kojarząc tego utworu ani z własnym ojcem, ani z harcerstwem.

* * *

Choć na Mazurach harcerzy z Płocka biwakowało sporo, to nasz hufiec stanowił zaledwie część grupowania. Do głów-

nych zadań tego zgrupowania należała repolonizacja autochtónów. Były to jeszcze czasy niespokojne na terenach przyłączonych do Macierzy, krążyły wieści, że w lasach kryją się jakieś niedobitki SS, względnie Wehrwofu.

Dlatego też, za zgodą władz, mieliśmy z sobą kilka sztuk broń, aby móc wystawiać uzbrojone warty. Powodowało to niejednej nocy strzały i zabawne, aczkolwiek tylko z pozorów groźne, sytuacje. Były one wywołane przeważnie hałasem dzika, jelenia a pewnego razu nawet zbłąkanej krowy.

Naprawdę jednak groźna przygoda zaistniała na samym początku. Po forsownym marszu z Ostródy do wsi Zwierzewo i po trudach związanych z rozbiciem namiotów, zbudowaniem kuchni, latryn, stołów ziemnych, bram obozowych, kapliczek itp. - okazało się, że egzystujemy dokładnie na polu minowym. Na szczęście były to miny przeciwczołgowe i żadna z nich pod naszym ciężarem nie wybuchła.

Nie mniej, jeszcze tego samego dnia musieliśmy z wielką ostrożnością (i przy strachu instruktorów o bezpieczeństwo młodzieży) obydwą podobozy przenieść w nowe i to dość odległe miejsce. Chłopcy byli pod wieczór zupełnie skonani, ale awaryjne zadanie wykonali bez najmniejszego oporu.

Dalej życie obozowe potoczyło się normalnie, przygody - z bronią i polem minowym - zawędrowały na swoje miejsce, czyli do obozowych kupletów i satyrycznych wierszyków. Pomagaliśmy Mazurom w żniwach, prowadziliśmy z nimi patriotyczne rozmowy i wywiady, zabawialiśmy miejscowe dzieci, zapraszaliśmy ludność na ogniska. Jednakże nad wszystkim górowały pieśni.

Mieliśmy wówczas poczucie pełnienia jakiejś narodowej misji i nie było w tym ani krzty przesady. Nic przeto dziwnego, że na fali takich uniesień ułożyłem na obozie kolejną piosenkę, która była wielokrotnie śpiewana przez płocki hufiec na publicznych ogniskach oraz podczas odwiedzania mazurskich zagród. Piosenka nazywała się, od swoich pierwszych słów, „W mazurskim lesie”. A oto fragment rzeczonyj pieśni:

W mazurskim lesie trzymamy straż,
pełnimy wiernie służbę szarą
i dumnie płynie sztandar nasz

nad ojców ziemią starą.

Refren: Pójdziemy, hej! harcerze
z młodzieńczym w duszy hurra,
pójdziemy w dobrej wierze
i z pieśnią do Mazura.
Pójdziemy, hej! harcerze
w zielonych swych mundurach,
pójdziemy zawsze szczerze
i z sercem do Mazura.

Z płockiego hufca harcerzy rój
w Zwierzewie rozbił swe namioty
i nic nie znaczą marszu znój,
gdy trzeba do roboty.
Cała Chorągiew, jak zgodny chór,
pracuje dzielnie na Mazurach.
Potężną pieśnią szumi bór,
pieśń wiesza się na chmurach.

Czternastego lipca wszystkie hufce z rejonu Ostródy skierowane zostały na Pola Grunwaldzkie, gdzie wzięły udział w wielkiej defiladzie. Z każdego podoboju uczestniczyło stu wybranych harcerzy. Podczas defilady prowadziłem kolumnę swego podoboju i nawet zachowało się zdjęcie dokumentujące to zdarzenie.

Dzień ten był potwornie upalny. Obiecywano nam transport samochodowy z Ostródy pod Grunwald i z powrotem, ale samochodów było niewiele i znaczną część drogi odbyliśmy pieszo. A tak oto obraz tego zdarzenia, w bieżąc prowadzonym pamiętniku, zapisał druh z mego podoboju, Stasiu Starczewski :

„Defilada rozpoczyna się. Idziemy równym, mocnym krokiem - tak, jakbyśmy mieli za sobą lata ćwiczeń w marszach i zwrotach. Dostajemy obfite oklaski i słyszymy okrzyki na cześć harcerzy. Generał przyjmujący defiladę wznosi okrzyk: „Niech żyją harcerze!”...”

Wreszcie, już po męczącej - a dla mnie również stresującej - defiladzie mieliśmy ze trzy godziny wolnego. Całe harcercie towarzystwo rozbiegło się swobodnie po terenie nawiązując no-



Na polu grunwaldzkim prowadzę kolumnę defiladową swego obozu (Na pierwszym planie – z lewej). Rok 1946.

we znajomości, śpiewając w niewielkich grupkach, lub posilając się resztkami suchego prowiantu.

Natomiast dwóch z naszych młodych druhów - jak się potem dowiedziałem - wykorzystało wolny czas w sposób nader osobliwy - a w naszym ówczesnym mniemaniu - wielce patriotyczny, bo dziś pewnie wstydziłibyśmy się takiego wybryku. Mianowicie, kiedy już w gruzach leżał butny pruski monument pod Tannenbergiem, a podobny los spotkał wiele innych śladów teutońskiej chwały w Prusach Wschodnich, ci dwaj młodzi chłopcy dostrzegli nagle, podczas spaceru po grunwaldzkich polach, niepozorny pomniczek z niemieckimi napisami. Z wyrytych w kamieniu gotyckich liter z trudem doczytali się, iż „Denkmal” ten upamiętnia miejsce śmierci Wielkiego Mistrza Zakonu Krzyżackiego, Ulricha von Jungingena. Nie namyślając się ani chwili, znalezionym w pobliżu otoczakiem bodaj przez trzy godziny tłukli germańskie napisy, aż stały się całkowicie nieczytelne.¹³

* * *

¹³ Będąc w roku 1988 pod Grunwaldem, na Złocie ZHP, szukałem tego pomnika i - o ile nie popełniłem błędu - to istniał on nadal i nosił ślady po napisach zniszczonych w 1946 roku.

Wróćmy jednak do pamiętnika Stasia Starczewskiego:

„Defilada skończona, mamy czas wolny a potem czekamy na obiecane przez starostę z Ostródy samochody. Tymczasem przybywa tylko jeden i zabiera małą grupkę harcerzy. Komentant Hufca, podharczmistrz Ryszard Wodzyński, decyduje, że idziemy pieszo a marsz będzie zaliczony do prób na stopień „Ćwika” i „Harcerza Orlego”.

Maszerujemy. Kilometry mijają powoli. Młodszy i słabszy nie mogą już iść. Odsyłamy ich na spotkanych po drodze furmanach. Reszta nie traci humoru i z piosenką na ustach, z druhem Chojnackim na czele, maszeruje dalej nadając tempo pozostałym. Po przejściu 20 km, w Szydaku, zostajemy zatrzymani przez milicjanta,

który zapowiada, że nas dalej nie puści, dopóki nie przyjadą samochody z Ostródy, zaalarmowane telefonicznie.

Milicjanci i miejscowa ludność tej osady, proszą nas o zaśpiewanie „Jeszcze Polska nie zginęła” oraz „Roty”. Śpiewamy a potem inne pieśni harcerskie, wojskowe i ludowe. Incydent przemienia się w manifestację.

W tym momencie szosa przejeżdża jakaś ciężarówka. Milicjant ją zatrzymuje i każe zawieźć harcerzy do Ostródy. Połowa odjeżdża, ale druga połowa zostaje.....i dobrze na tym wychodzi, bo zjawiają się jacyś panowie



Autor pamiętnika,
Stasiu Starczewski.

w granatowych mundurach i zapraszają na kolację do domu wczasowego, w którym odpoczywają na koloniach dzieci z Warszawy.

„Niech żyją polscy marynarze!” - wznosi okrzyk druh Woźniński. Podchwytujemy okrzyk, ale zauważamy nagle znaczki PLL „LOT”. Krzyczymy więc „Niech żyją polscy lotnicy!”. Kolacja jest wyśmienita: chleb ze smalcem, konserwy i mleczna kawa, której już nie zdążyliśmy wypić, bo zajechał nasz samochód....”

Na koniec grunwaldzkiego opowiadania, chcę opisać przygodę bardziej osobistej natury. Obozy naszego hufca zaopatrzone zostały w znacznym stopniu w puszki konserwowe, w półcie słoniny (rudawe od ich zakonserwowania mieloną papryką) oraz w inne produkty żywnościowe, przez duński Czerwony Krzyż.

Wczesnym rankiem, przed wyruszeniem pod Grunwald, otrzymaliśmy prowiant na cały dzień. O ile dobrze pamiętam, na każdego druha przypadał jeden pomidor, pół chleba oraz owalna puszka ze śledziami od Duńczyków.

Kiedy niektórzy



Fotografia, którą autor otrzymał od Duńczyka z Kopenhagi, reprezentującego Czerwony Krzyż, czyli ofiarodawcę konserw dla obozu

moi chłopcy - wycieńczeni już na początku forsownym marszem z miejsca obozowania do Ostródy - bardzo zgłodnieli, oddałem im wspaniałomyślnie (jak się okazało, nieopatrznie!) oprócz pomidora, także cały swój chleb.

Tak byłem przejęty i zaabsorbowany swoją rolą przywódczą oraz odpowiedzialnością za podopiecznych, że aż do zakończenia defilady niczego nie jadłem. Wreszcie, w czasie wolnym, kiedy już na dobre przemiął stres defiladowy, mój własny żołądek zaczął się natarczywie domagać o swe zaniedbane prawa.

Siadłem więc w pełnym słońcu na jakiejś najbliższej miedzy, wyjąłem z chlebaka puszkę, i zacząłem intensywnie pałaszować nordyckie śledzie. Pomimo głodu, apetytu starczyło jednak na krótko. Bowiem olej - ze względu na wyjątkowo wysoką temperaturę otoczenia - stał się nieprzyjemnie ciepły i płynny niczym woda, a brakowało w nim choćby odrobiny soli, lub innej ostrej przyprawy. Bez chleba nie byłem w stanie spożyć nawet połowy zawartości owej puszki z „rycyną”. Morskie ryby wywołały u mnie najprawdziwszą morską chorobę i borykałem się z nią przez kilka godzin.

* * *

*Odtąd - bodaj aż przez kilkanaście lat - na śledzie w oleju nie mogłem nawet patrzeć bez uczucia mdłości . A równocześnie, **od czasu mej pamiętnej wyprawy pod Grunwald, tego rodzaju puszki rybne kojarzyły mi się nie tyle z wiktoria Jagiełły, co z kłęską komtura von Jungingena!!!***